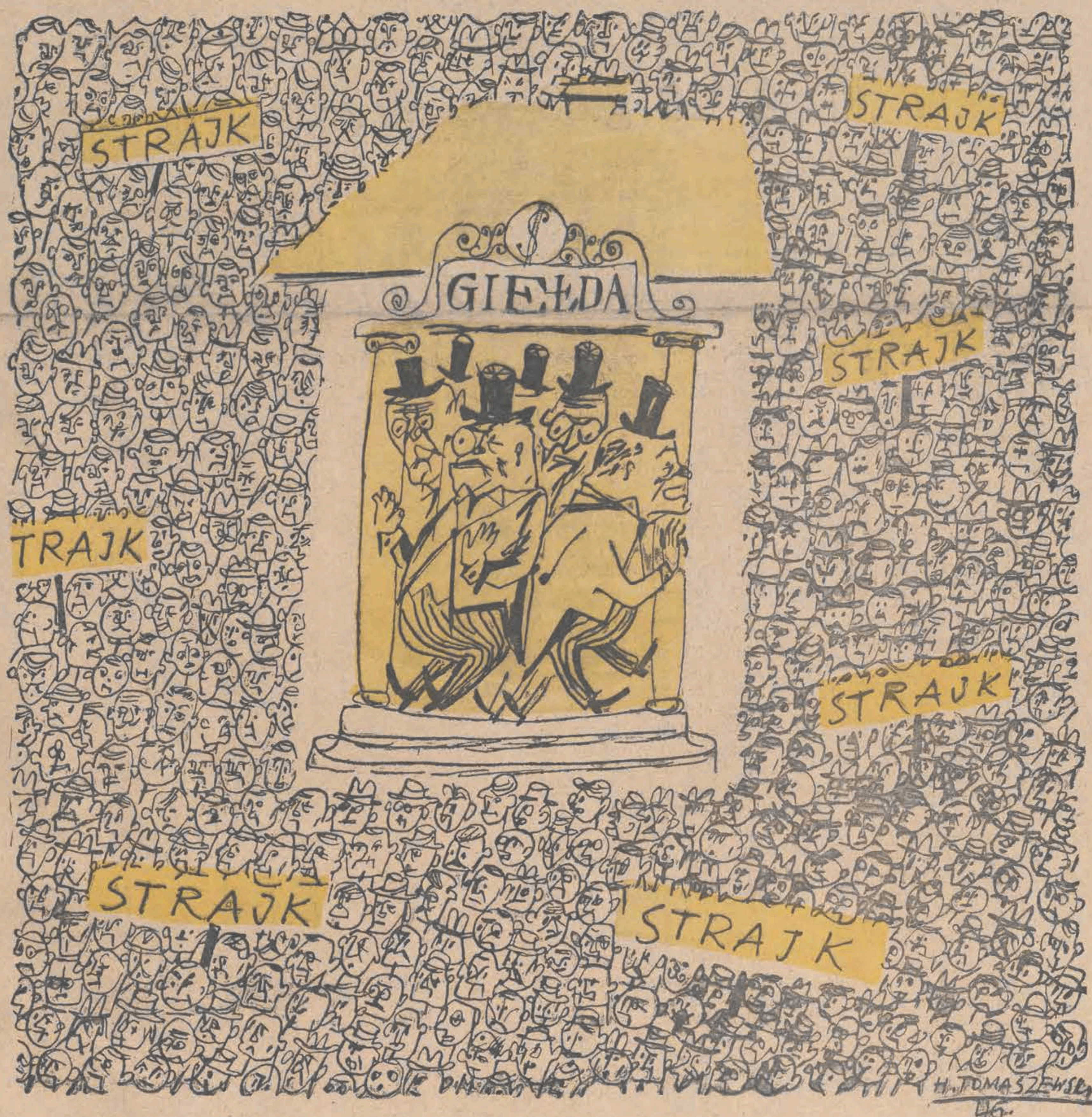
Cena numeru 8 zł.

RÓZGI

BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok I 22 Wrzesień 1946 Nr 7

W związku z milionowym strajkiem w U. S. A. i miliardowym krachem na giełdzie nowojorskiej



Rys. HENRYK TOMASZEWSKI

USiA SIUSIA

Ludwik Jerzy Kern

Wiersz o jesieni, podatkach i kwiatkach

W Łodzi wprowadzono podatek miejski od przedmiotów zbytku, m. in. od kwiatów...

Jesienią, maleńka, jest smutno i szaro
i samo już życie, maleńka, jest karą.
I troski jesienią zwisają jak chmury
i nie chce się nawet łba zadrzeć do góry.
Bo po co zadzierać? No pomyśl, malutka,
by słońce zobaczyć skurczone jak sutka?
Lub ujrzeć, że liści na drzewach już nie ma?
To po to, to po to, mam łeb piąć do nieba?
Cholera, maleńka. Cholera i dreszcz.
I jesień. I wrzesień. I deszcz.

Bo widzisz, maleńka, cóż życie jest warte
gdy życia nam na deszcz przypada trzy czwarte?
Gdy dzień jest za długi, a noc jest za krótka,
no powiedz, czy tak być powinno, malutka?
Ty nie wstydź się, miła, bo wolno nam dzisiaj
radości i szczęścia wymagać od życia.
Dziś trzeba batalię rozpocząć o szczęście
i o to, by u nas zjawiało się częściej.
Dziś dla nas są bajki. I dla nas jest świat
na mapach. I zapach. I kwiat.

Z tym kwiatem, maleńka — to także jest kwiatek:
od kwiatów nam każą dziś płacić podatek,
Ten kwiatek podatków gdzieś wyrósł na grzędzie
w ponurym i mrocznym, niedobrym urzędzie.
A ten co podatkiem tym budżet chciał zatkać,
to był, miła moja, największy wróg kwiatka.
Wróg wszelkiej pogody i wszelkiej radości,
przeciwnik uśmiechu i grabarz miłości
I dziwak okropny. I bardzo zły typ.
Choleryk. I grzyb.

Więc odtąd nie kupię ci kwiatów, maleńka,
i odtąd ich w wazon nie włoży twa ręka.
I odtąd nie będą już budzić nas rankiem
zapachy płynące z za białej firanki.
Wiem, smutno i brzydko być musi w pokoju,
gdy żadne w nim kwiaty w wazonie nie stoją.
Cóż robić.
W ten wazon, gdy braknie w nim kwiatków
zbierzemy, maleńka, stos kwitów z podatków.
To przykre, maleńka. To przykre, jak dreszcz.
Jak jesień. Jak wrzesień. Jak deszcz.

Obywatel Rózga ma głos



Dom nasz nie podpada pod działalność Nadzwyczajnej Komisji Mieszkaniowej, bo należy do instytucji, zwanej społeczną, ale dobrze byłoby, aby ktoś z tej Komisji tu wdepnął i zrobił porządek z mieszkaniami, przydzielanymi według widzi mi się obywateli dyrektorów. A widzi mi się to takie, że obywatele dyrektorzy sami sobie i swoim protegowanym co największe apartamenty przyznali, tak że jedna osoba z papugą na cztery pokoje przypada, natomiast takiego lokatora, jak redaktor Patek trzymają z rodziną i nieletnim owczarkiem w jednej izdebce na poddaszu. Ten Patek jednak, to człowiek cierpliwy, humoru nie traci i nie przejdzie, aby nie zadać jakiejś wesołej zagadki. Naprzykład wczoraj powiada do mnie:

— Hej, Rózga, co jest większe — dwadzieścia jeden czy cztery?

Wyczułem, naturalnie, w pytaniu chytrość, ale przecież grywam z Czyżykiem w oko i nie miałem prawa odpowiedziec inaczej, niż że — dwadzieścia jeden.

— Fiume — zaśmiał się Patek. — Na polityce się obywatel nic nie rozumie. W grze w karty dwadzieścia jeden większe, ale w polityce cztery. Wielka, obywatelu, Czwórka.

Kiedy poszedłem poskarżyć się Czyżykowi na Patka, że ludzi nabiera, ten pokręcił głową:

— Nie Patek nabiera — powiedział, a niektórzy z Wielkiej Czwórki. Jeden zwłaszcza chciał ostatnio nabrać cały świat.

Domyśliłem się, że chodzi o pana Byrnesa. Choćbym nawet gazet nie czytał, to manifestacji u nas było tyle, że każdy obywatel, można powiedzieć, zorientowany. A Czyżyk zaraz ciach, pismo tygodniowe z kieszeni wyjmuje i rzecze:

— Patrz, to — on. Cóż zaznaczysz pod względem takiej twarzy?

— No, twarz jak twarz — odparłem — do kina się niebardzo nadaje, ale za to — nos!

— Otóż to — ucieszył się Czyżyk. — Właśnie nos. Strasznie, bracie, długi. Nie wie facet poprostu, co z nim robić i wtyka, gdzie nie potrzeba. Że sprawa niemiecka dla niego za płytka, bo leży jak na talerzu, więc rzeki graniczne zaczął nam gruntować. No, ale mu trochę nosa, umoczonego w Odrze i Nisie, utarli.

— Wiem — krzyknąłem. — Byłem na wiecu!

Na to się Czyżyk uśmiechnął pod wąsem.

— Nie tylko u nas. W Ameryce również. Taki Pepper...

— PePeR? — zapytałem zdziwiony. — To i u nich jest taka partia?

— Senator Pepper — poprawił Czyżyk. — I inni. Powiedzieli, żeby lepiej nie wsadzał nosa do cudzego prosa, a zajął się sprawami bliższymi. Tym, co się dzieje w Ameryce. Miliardową klapą na giełdzie i strajkiem milionów robotników.

— No — wtrąciłem — przecież pan Byrnes chyba o tym wie, nie potrzeba mu przypominać?

— Wie — potwierdził Czyżyk — ale załatwia po swojemu. Przerzuca zainteresowanie rodaków na sprawy zaoceaniczne. — Cóż — tłumaczy — że amerykańscy robotnicy chcą podwyżki, kiedy Niemcy są słabe? Będą silniejsze, znajdzie się podwyżka. Zarobki będą większe, giełda ruszy całą parą, bo się przemysł wojenny ożywi. Wojna niezła rzecz, kłopot z bezrobociem odrazu odpadnie. Tylko kłopot z tym, że obecnie amerykańscy bezrobotni wcale na wojnę nie reflektują. A są ich miliony. Pan Byrnes, naturalnie, nie jest ich przedstawicielem: on reprezentuje miliony dolarów...

W domu wariatów



Rys. Henryk Tomaszewski

— Te, czego łazisz z nocnikiem po dachu?
— Bo ja łapię latającą rakietę.
— Coś ty wariat? Przecież one nigdzie nie spadają.

Stefan Stefański   Ilustr. Zenon Wasilewski

TYRAN

Nie myślcie, że aby zdobyć duże wpływy w społeczeństwie, dojść, jak się to mówi, do poważnego znaczenia i znacznego poważania, trzeba zaraz koniecznie być „jednostką“ (forsiastą, utalentowaną, wybitną, należącą do partii i t. d.). Pawłowi Mendaszce krajanie z Dożynek Górnych nisko się kłaniali i w ogóle cała gmina o jego względy zabiegała, a przecież był to zupełnie przeciętny obywatel kmieć, nic nadzwyczajnego.

Powodzenie zawdzięczał Mandaszko koniowi. Tak się bowiem złożyło, że kiedy wszystkim innym gospodarzom z gminy silę pociągową szlag wojenny trafił, konik Mandaszki uszedł rekwizycjom niemiec-



kim, nie pobiegł nad Odrę i Nysę, tudzież uniknął jakoś szczęśliwie powojennej nosacizny, wąglika i t. d. Cudownie ocalony konik wysunął Mandaszkę na czoło okolicznych włościan, gotując właścicielowi nielada koniunkturę. Bez konia, na wsi, wiadomo, ani ani. To też Mandaszko miał czasy złote: robotę na roli rzucił, tylko bułanka wynajmował. W kolejce. Tego i tego dnia Fronczakowi, tego Matuli, a tamtego Michalakom. I ceny wyznaczał:

— Dacie mi — powiada — tyle zboża, tyle kartofli, tyle bimbru, tyle i tyle złocistych.

Dawali. Kłaniali się jeszcze w pas, bo przecież mógł konika odmówić. I co wtedy? W krowę orać albo zwozić? O bułanka też dbali przykładnie, bo jeden na całą gminę. Dogadzali mu, uważali, aby się nie przegrzał, dokarmiali. Rósł brzuch Mandaszce. Spryciarz Mandaszko jeszcze ciągle marudził:

— E — mówi naprzykład — znu-



dziło mi się w Dożynkach. Jadę, uważacie, na Zachód. Z bułankiem.

A cała gmina w lament. Prezenty znoszą i proszą:

— Bracie kochany, nie jedź, bez konia nas nie zostawiaj. Cóż my, sieroty biedne, poczniemy?

— Ano, dobrze — zgadza się łaskawie Mendaszko. — Zostanę, ale sołtysem mnie zrobicie.

Zrobili. A Mendaszce nowe pomysły do głowy strzelają:

— Wsiadam — oświadcza stanowczo — na bułanka i wio! Nie będę w takiej chałupie mieszkał. Nową wystawcie.

Wystawili. Stajnię i oborę też. Ogród oporządzili. W gospodarstwie Mendaszki wszystko robią. A ten nic, z żoną bimberek ciągnie i kombinuje:

— Maryśce czas za mąż. Dziewczyna, cholera, świdrowata, z krzywą łopatką, piegus indycze jajo, ale ja jej męża znajdę.

I stawia wniosek na zebraniu: Julek Michalak ożeni się z Maryską. Stawał chłopak dęba, krzyczał: za Boga — nie, z każdą inną, ale nie z tą małpą, lecz wkrótce musiał ustąpić. Bo cała gmina huzia na niego:

— Musisz, kochany, musisz! Zrób to dla bułanka!

No, cóż, ożenił się. Gmina posag dała, tyle, ile żądał Mendaszko. Na nabożeństwo do Wszystkich Świętych się potem złożyli, aby tyran nic gorszego nie wymyślił, Nie wymyślił. Nie zdążył. Może za wstawiennictwem Wszystkich Świętych, może nie — traktory z miasta przysłali, a traktor, wiadomo, za kilkadziesiąt koni obstoi. Naturalnie, w gminie przewrót. Odrazu się przestano Mendaszce w pas kłaniać. Chałupę, stajnię i oborę rozebrali. Julkowi kazali się rozejść z Mendaszkówną.

— Za sołtysa — rzekli do Mendaszki — przestań się uważać i w ogóle z koniem koniec. Laska nasza na traktorach jeździć będzie, a ty, bracie, siadaj i wio, na Zachód!

Pojechał. A szkoda. Na drugi dzień traktory się popsuły, a może tylko szoferzy byli uchlani. W każdym razie bułanek by się przydał.

Ballada
o strajkujących marynarzach amerykańskich

Pyta nas dzielny kapitan stary:
„Czemu, do diabła, nie pracujecie?...
Na twarzy jego zapłonął gniew.
A my mu na to: „Bo im — dolary,
A nam — wiatr morski, słone obszary
I nędzne grosze, psiakrew!

„Jest was dość wiele — pięćset tysięcy,
Lecz policyjnych pałek jest więcej!"
Stary kapitan ryczy jak lew.
Na to odpowie ten i ów śmiałek:
„Będzie nas wkrótce więcej, niż pałek,
Więcej, psiakrew!"

Wrzeszczy kapitan: „Nie pracujecie!
Klniecie jak burza, wódkę chlejecie!
Baczność, bo mówi wasz stary szef!
A my mu na to: „Do jasnej mamy!
Swoje pieniądze tu przepijamy,
A oni nasze, psiakrew!

Im — wielka flota na oceanie,
Nam — mała flota w kieszeniach, panie!
Nam — nędzne grosze i wiatru wiew.
Im — marynarka złotem wypchana
Nasza wędruje po oceanach
I klnie: „psiakrew"!

Im — pieśni skrzypiec i wierszyk słodki,
A nam ocean układa zwrotki
Do wtóru krzyków żałosnych mew,
Im — słodycz świata, nam — gorycz dymów,
Dlatego ostro i mocne wymów
Słone jak morze „psiakrew!"

Jest nas narazie pięćset tysięcy,
A policyjnych pałek jest więcej...
O kapitanie, uśmierz swój gniew!
Będzie nas wkrótce więcej, niż pałek,
Wyzyskiwaczy weźmiemy za łeb!
Tak jest. Psiakrew!

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Żona gen. Franco wabi w Lizbonie pretendenta do tronu hiszpańskiego, Don Juana



Rys. Kazimierz Grus

ZACZEPKI DUPLOMATYCZNE

JAN CZARNY   Rys. REGINA KAŃSKA

UKRYTY CEL



Mam dwóch przyjaciół po piórze: Jana i Stefana. Jan zaprosił mnie onegdaj na obiad, połączony z oględzinami nowonarodzonej córy. Postanowiłem nie odkładać wizyty, bo wiadomo, dzieciak rośnie z dnia na dzień...

— Niepotrzebnie tam idziesz — ostrzegł mnie Stefan. — Primo, bezmięsny dzień, sekundo — szkoda pieniędzy na kwiaty, a po trzecie, uważaj, bo jeśli cię zaprosił, to z pewnością ma w tym jakiś uboczny cel.

— Żaden uboczny cel — mówię — tylko dziecko rodzone...

— No to idź, kiedy się uparłeś, ale żebyś nie pożałował. Przekonasz się zresztą.

Przyjaciel zajmował mieszkanie z wygodami, które głównie polegały na tym, że do willi były aż dwa wejścia z dwu równoległych ulic, a to już w dzisiejszych czasach, ubogich w tanie i godziwe rozrywki, stanowi przyjemne urozmaicenie. Chcesz, idziesz ulicą Biedną, chcesz, idziesz Nielepszą. Jednym słowem, swoboda i wolność, tak potrzebna literatowi...

— Ot, gdzieby miała pracę Nadzwyczajna Komisja Mieszkaniowa — pomyślałem, wchodząc przez kilka próżnych i zawieszonych suszącą się bielizną pokoi, do ogniska domowego mego kolegi. Ucałowałem jego żonę w rękę, następnie teściową, poczem podano zupę.

Uprzedzony i świadomy prawdy, że literat literata w łyżce wody gotów utopić, ująłem nieśmiało łyżkę z zupą. Potem ręka moja, przywykła dzierżyć t. zw. cięte pióro, ochoczo, aczkolwiek nieśmiało— chwyciła za widelec. Ale potrawa była gorąca i kiedy ostygła, razem z nią ostygł i mój zapał. Przypomniałem sobie ostrzegawcze słowa: — Uważaj — uboczny cel!

Rozmawiamy o tym i owym, gdzieniegdzie nawet daje się zauważyć miła atmosfera, która jednakże natychmiast wzbudza moją podejrzliwość i każe zachować trzeźwość umysłu... Gospodarz wciąż tylko o dziecku, że takie, że owakie, że jego, jakby Amerykę odkrył... Potem o Wolterze, a ja nic, tylko uszu nadstawiam, bo wiadomo, nim się spostrzeżesz imputacja gotowa...

Żona gospodarza, zacna dama, zsuwa raz po raz na mój talerz jajka na szaro z uprzejmym uśmiechem, ale ja nic, tylko uważam... Potem pierożki à la Martin du Gard i znowu ten podejrzany, uprzejmy uśmiech, więc mówię sobie: — Jasiu, nie daj się — i... nadal uważam. A teściowa? — Teściowa uprzedzająco uprzejma, więc, naturalnie, podwajam siły i wzmagam swą uwagę.

Przyjaciel furt o dziecku i o Wolterze, jakby był ojcem jednego i drugiego. Wszyscy bardzo uprzejmi i mili.

— Źle... — myślę sobie. Pot kroplisty zrosił mi czoło, żyły na skroniach wystąpiły, papierosy palę, jeden za drugim i, co najgorsza, spostrzec nie mogę tego ubocznego celu.

— Świnia, ten Stefan — myślę w końcu — a mordę ma tak sympatyczną, że gardło dałbym sobie za niego tępą żyletką podciąć...

Wreszcie zdenerwowało mnie to ciągłe uważanie. Przy herbacie wstaję od stołu i powiadam:

— Proszę państwa, wszystko ma swoje granice Wasza uprzejmość przebrała miarkę... dłużej nie wytrzymam... Wobec czego zagrajmy w otwarte karty... Na to teściowa z anielskim uśmieszkiem na twarzy proponuje najuprzejmiej w świecie:

— To może w takim razie zagramy w brydża — i wyciąga z szuflady podwójną talję kart.

— Nie! Dziękuję! Mnie chodzi poprostu o ten UBOCZNY CEL —

Domownikom usta otwarły się ze zdziwienia: — UBOCZNY CEL?" — Patrzą na mnie i w oczach ich czytam myśl, że wódki przecież do obiadu nie było ...

I nagle nawiedziła mnie chwila jasnowidzenia, jaka nawiedza ludzi w momentach wielkich katastrof i ważkich decyzji:

— Aha — pomyślałem — jestem u siebie w domu:

— To wy nie macie żadnego ubocznego celu?! —

— NIE!!! — Zawołali chórem.

— ABSOLUTNIE!!! — Powtórzył, jak echo przyjaciel po piórze. Zaczerwieniałem, jak piwonia i wykrztusiłem, jąkając się:

To cze...mu, moi, ko.ko..chani, odrazu te..tego .nie powiedzieli...ście?

Kolega po piórze odprowadził mnie do tramwaju. Żegnając się, długo ściskaliśmy sobie dłonie, chwaląc wzajemnie swoje utwory. Długo jeszcze potem przetrawiałem myśli o intrydze, która nie pozwoliła mi cieszyć się proszonym obiadem, w towarzystwie miłych i sympatycznych ludzi...

A Stefan? — Intrygant! A szkoda, gardło dałbym sobie podciąć dla niego tępą żyletką. Widocznie on miał w tym jakiś uboczny cel!? Dowiem się jutro. Na jutro jestem zaproszony na obiad do Stefana.

Jerzy Zajączkowski

„V-DAY"

Motto: „Moja wojna nie skończona,
moja wojna jeszcze trwa..."

(refren piosenki Hemara, śpiewanej w programie rewii „Polski V-day" w kabarecie „Klub Orła Białego" w Londynie).

Jest taki lokal w sercu Londynu,
z którego dziwne piosenki płyną.
Piosenki pełne „pariotyzmu"
i „cierpiętnictwa" i „mistycyzmu",
piosenki, w których refrenem drga
wiara że wojna wciąż jeszcze trwa.

Lokal ten, krótko mówiąc, kabaret,
ma przedwrześniowe tradycje stare,
korzysta z szyldu narodowego:
„Klub — głosi neon — Orła Białego".
Mieści się London. Jakaś tam street.
Produkcja główna: hańba i wstyd.

Dla tego „klubu" za trochę miękkich
pisze nieduży facet piosenki.
Piosenki potem śpiewają girlsy,
Co mają długie nogi i rzęsy.
I do serc trafia z pomocą nóg
hasło: „Ojczyzna, Honor i Bóg".

Facet o wojnie bez przerwy marzy,
facet wojaczkę sympatią darzy,
facet ostrogą brzęka i szablą,
chwacki, sarmacki, facet jest diablo,
facet ma tupet, facet ma gest,
facet ogromnie waleczny jest.

Lecz gdyby nagle spytać faceta,
„Cóż ty facecie wiesz o kacetach?
Co wiesz o ludziach, którzy konali?
O grozie wojny, którą tak chwalisz?
Czy żyłeś lękiem? Czyś tonął w łzach?
Czy wiesz, co rozpacz? Czy wiesz co strach?"

Zbędną nam jednak jego odpowiedź,
bo z góry wiemy, co facet powie.
On żyje wojną. I to rzemiosło
tak go porwało, tak go poniosło,
że nawet lekka muza mu gra
wojenny sygnał tra ta ta ta...

Tego wszystkiego ukryć się nie da.
Facet Marsowi cały się sprzedał.
Facet się zmarszczył i w kabarecie
śni, że się ludzie tłuką na świecie.
Wielbi à conto w piosence swej
Sabat faszystów — „polski V-day".

Dlatego śpiewkę twą kto przeczyta
o wyjaśnienie nie musi pytać.
Wie jaką wojnę na myśli miałeś,
gdy swą piosenkę „wieszczu", pisałeś,
piosenkę, którą music hall gra
o „nieskończonej", co ciągle trwa...

Mieszana Komisja Płac uchwaliła zakaz zajmowania więcej niż dwie posady



Przed wprowadzeniem zakazu



Rys. Henryk Tomaszewski

Po wprowadzeniu zakazu

Anglicy zbombardowali 6 miejscowości w Indiach za uprowadzenie agenta swego wywiadu



Rys. Henryk Tomaszewski

Bon-ton

Włodzimierz Słobodnik

Jesienny sen

Jest melancholia w dniach jesiennych,
Gdy w miejskich parkach płaczą drzewa
Uwiędłym liściem. Smutny cień ich
Ziemię w żałobę przyodziewa
I jabłka się nad tobą chylą
(Po sto dwadzieścia złotych kilo).

Jak tu opiewać dar Pomony,
jak tu opiewać złotą jesień,
Kiedy poecie brak mamony,
I wiatr przewiewa mu przez kieszeń,
A z wystaw najtłuściejsze gruchy
Ku niemu wypinają brzuchy?

A na wystawach się rumienią
Jabłka ze wstydu, jak te zorze,
Że kanciarz kupi je jesienią
A przyzwoity człek nie może.
Więc śnisz żeś Adam, że ci Ewa
Za darmo daje jabłka z drzewa. —

Horacy Safrin

NA KONFERENCJI POKOJOWEJ.

Wspólny cel mają Bevin i Evatt,
chociaż w Paryżu funkcje pełnią różne:
jeden oliwy do ognia dolewa,
drugi — z pustego przelewa w próżne.

PROTEGOWANEJ.

Dziwię się, ogarniając twą figurkę wzrokiem,
że przy talii tak wąskiej masz plecy — szerokie.

Horacy Safrin

Bona fide

(Spowiedź optymisty)

Od tygodnia, daję słowo,
patrzę znów na świat różowo.
Z podniesioną głową idę
w „jasną przyszość" — bona fide..

Chociaż czarne kraczą kruki,
wierzę w głębszy sens nauki,
wierzę w atom — mówiąc prościej —
i w „teorię bezwzględności".

Wierzę w Byrnesa elokwencję
i w Paryską Konferencję,
która też się skończy — twierdzę —
jak ten proces w Norymberdze.

Jeśli znajdą również kres i
O.N.Z.-u przyszłe sesje:
do wieczności niewspółmierna
zapanuje — pax aeterna..

Po dziejowej zawierusze
znów się bratnie zejdą dusze.
Włoch Francowi pod gitarę
zaszczebioce „Mio caro!"

Bevin, „małych państw" rozjemca
do snu ukołysze Niemca,
król powróci znów do Aten —
i zalegnie cisza świat ten.

Wierzę też, że po Kalkucie
lud nie kiwnie palcem w bucie,
„rząd" w Bombaju się ukrzepi —
jednym słowem: będzie lepiej...

A gdy kiedyś, u wrót raju,
o zasługi mnie spytają:
jedno powiem, zanim wnijdę,
że ...wierzyłem — bona fide!

Ludwik Świeżawski

JASNOWIDZ

Inteligent Chudzik, nie mając nic lepszego do roboty, poszedł do jasnowidza. Ostatecznie z nudów ludzie robią jeszcze gorsze rzeczy.

— Czego chciałby się pan dowiedzieć? — zapytał ponury facet w fartuchu, z głową obwiązaną ręcznikiem.

Chudzik nie wiedział dokładnie.

— Mogę panu przepowiedzieć, jaki wygląd będzie miała pańska ukochana.

Przybysz machnął ręką.

— Wolałbym się dowiedzieć, czegoś konkretnego.

— Hm, to może odkryć przed panem przyszłe losy świata?

— A mnie co to obchodzi?

— Zatem powiem panu coś z przeszłości: jakie pan miał przeżycia.

— Niech się pan nie trudzi. Przecież ja to wiem lepiej od pana.

Jasnowidz poruszył się niespokojnie.

— W takim razie powiem panu, czy będzie wojna.

— E! Jak będzie, to będzie, a jak nie będzie, to nie będzie.

— Przepraszam pana, ale, poco pan przyszedł do mnie?

Chudzik uśmiechnął się blado i popadł w zamyślenie.

— Może by mi pan powiedział — rzekł po chwili — jak zdobyć pieniądze? Niech mi pan naprzykład poda numer losu, który wygra na loterii.

— Panie szanowny — powiedział jasnowidz z ujmującą szczerością — ja bym chętnie sam dla siebie wyszukał taki numer, ale sam nie wiem.

— To cóż z pana za jasnowidz, jeśli pan nawet tego nie wie?

Anzelmo Grand-Sevilla, a według karty meldunkowej Felicjan Płotka, przełknął bez obrazy gorzką pigułkę, która przypominała mu jego cichą, tragedię życia.

— Dziedzina zdobywania pieniędzy — oświadczył zrezygnowany — i w ogóle sprawy materialne są przed jasnowidzami zamknięte. My ich, proszę pana nie widzimy.

Chudzik uczynił ruch zniecierpliwienia:

— Więc, na czym właściwie — zapytał — polega pańska sztuka?

— Moją specjalnością — rzekł Anzelmo — jest przenikanie wzrokiem materii i odszukiwanie zaginionych osób i rzeczy. Mogę odkryć zaginionego w łódce na oceanie, mogę wskazać, gdzie się znajduje jakiś zagubiony przedmiot...

— Niestety — zmartwił się Chudzik — ja niczego nie zgubiłem. Ani w łódce na oceanie ani na lądzie.

— Hm, to szkoda — mruknął Grand-Sevilla — i zaczął się rozglądać po pokoju.

— Pan czegoś szuka? — powiedział uprzejmie Chudzik.

— Tak, zapałek. Gdzieś się zapodziały. Zawsze, psiakość, gdzieś je wetknę, że znaleźć nie można. Właściwie chciałbym zapalić papierosa...

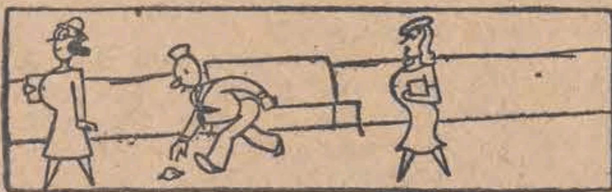
Chudzik uśmiechnął się ironicznie i podał mistrzowi Anzelmowi swoją zapalniczkę. Poczem, spoglądając jak jasnowidz zapala papierosa, zauważył:

— Wprawdzie nie jest moją specjalnością przenikanie wzrokiem materii i odszukiwanie zagubionych rzeczy, ale zrobię to dla pana: powiem, gdzie są pańskie zapałki!

— Aha — krzyknął z rozpromienioną miną Anzelmo — Odrazu mi się pańska wizyta wydawała dziwna: kolega też jest jasnowidzem!

— Broń Boże — odparł Chudzik. — Nie potrzeba być jasnowidzem. Po prostu widziałem, jak pan je niedawno wsadził do kieszonki od fartucha...

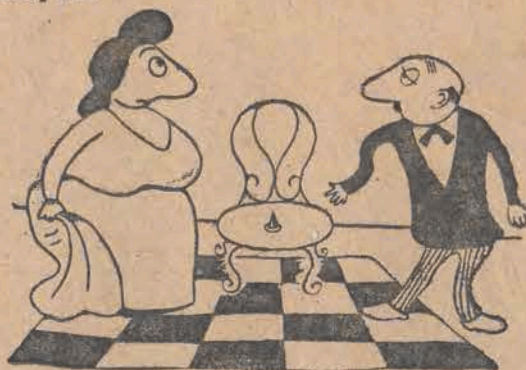





(The New Jorker)



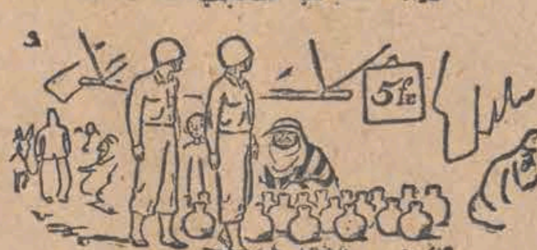
Że brak jednego zera? Omyłka drukarska: to jest napewno tysiąc złotych!



Rys. Jan Linka

Pani hrabino, może pani śmiało usiąść: gwóźdź jest szczerozłoty.






(the New Jorker)

Jerzy Zajączkowski

O mierzeniu czasu w pewnym mieście i o pluskwach w pociągu

(Felieton poważny)

Wieczór był już mocno zaawansowany, kiedy w pewnym, niebardzo podłym mieście, przyszedłem na dworzec. Zdaleka, ponad pierścieniem zieleni otaczającej miasto, ponad wieżami pewnej określonej liczby kościołów, płynął hejnał grany na mosiężnej, błyszczącej trąbce. Od najdawniejszych czasów określał on w tym mieście w sposób zdecydowany i bezpowrotny godziny przemijające. Każdy przyzna, że ta metoda określania czasu jest w dzisiejszych czasach mocno przestarzała i, że się tak wyrażę, troszeńkę niedokładna, niemniej jednak przyjemna, nadająca miastu jakiś specjalny charakter, wzbudzająca jakiś przedziwny, jedyny w swoim rodzaju nastrój. Kiedy więc usłyszałem płynącą nad miastem melodię, pomyślałem: acha, jest prawdopodobnie ósma.

Stanąłem w kolejce przed kasą. Kolejowe kolejki w Polsce zwykle bywają długie, nic więc dziwnego że czas w takich kolejkach posiada wszelkie cechy czasu straconego. Straciwszy zatem odpowiednią normę czasu, znalazłem się wreszcie z biletem w ręku na peronie. Wtedy właśnie usłyszałem drugą melodię, melodię nowoczesną, mającą w sobie coś z perkusji, która, jak wiadomo, wywodzi się w prostej linii z ducha murzyńskiego. Melodia ta, będąca trzema dźwiękami opartymi na jednym tonie, dobiegała do mnie ze wszystkich stron, z kilku tysięcy otwartych szeroko okien tego najdziwniejszego miasta.

Miasto nasiąkało nią jak mrokiem. Od krótkiego (stosunkowo) czasu określa ona w tym mieście w sposób zdecydowany i bezpowrotny godziny stracone przez mieszkańców! W przeciwieństwie do melodii poprzedniej, ta określa czas w sposób nowoczesny i absolutnie dokładny, nadając jednocześnie miastu, tak jak poprzednia, jakiś specjalny, wyjątkowy charakter i wzbudzając w tym mieście jedyny w swoim rodzaju nastrój. Kiedy więc usłyszałem te medodie, wiedziałem, że to BBC określa dokładnie godzinę ósmą minut trzydzieści.

Dwie różne melodie: pierwsza reguluje zegarki mieszkańców tego miasta, druga — „reguluje" ich umysły. Jak łatwo się domyśleć, odstęp czasu pomiędzy melodią pierwszą a drugą upłynął mi w kolejce przed kasą.

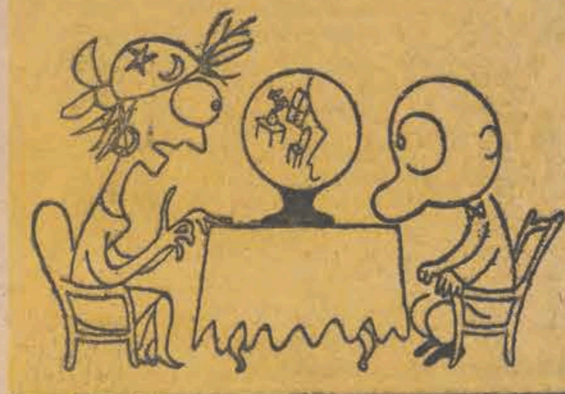
Pociąg mój stał już na peronie. Mając przywilej jeżdżenia wagonem służbowym, szybko zająłem w nim miejsce. Po ulokowaniu bagażu uwagę moją zwrócił jedyny pasażer, który wsiadł do przedziału przede mną. Oświetlał on przy pomocy małej kieszonkowej bateryjki ze szczególną drobiazgowością kąt, w którym miał zamiar usiąść. Kiedy mnie spostrzegł, ni stąd ni zowąd, zaczął wychwalać w słowach pełnych najwyższego uznania Polskie Koleje Państwowe, nie przerywając jednak swej zagadkowej czynności.

— Jakie szczęście, panie. Co za dalekowzroczność. Krzyczą panie, na nasze koleje. A ja mówię, proszę pana, mądrzy ludzie, dalekowzroczni ludzie. Popatrz pan tylko — oświetlił fragment ławki — popatrz pan, ładne, co? I jakie tłuste, wesołe, panie, nawet nie uciekają, oswoiły się już widać. Nikt im najmniejszej krzywdy nie robi, to żyją sobie zwierzątka i rozmnażają się na chwałę PKP. Tu masz pan ławki drewniane, porządne, jak nowe, a widzisz pan, jest ich tu do jasnej cholery i trochę. No, wyobraź pan sobie teraz wygody — miękkie ławeczki, poduszeczki. Masz pan pojęcie, co by się działo. Jedziesz pan naprzykład z Krakowa do Łodzi. Miękko, proszę pana szanownego, wygodnie, a jakże. Pulman kołysze jak niańka, pan szanowny zasypiasz i w Łodzi budzisz się pan w charakterze suchego szkieleta. Wszystko z mięsa masz pan wyżarte. Dzięcioła byś pan musiał ze sobą brać w drogę brać dla osobistego bezpieczeństwa. A myślisz pan, że o dzięcioła tak łatwo?

Skończył swój monolog i stanął w otwartym oknie na korytarzu, paląc papierosa. Przedział tymczasem powol' się zapełnił, pociąg ruszył i wtedy zabawa zaczęła się na sto dwa. Pluskwy rozzuchwalone ciemnością przystąpiły do swych conocnych czynności. Niewtajemniczeni, zapadłszy w głęboki sen, drapali się z przedziwną gorliwością aż do krwi. Wygarniali dziesiątki insektów z poza swych kołnierzy i biustów. Pluskwy spadały na podłogę wagonu i wydawały dźwięk podobny do dźwięku deszczu. Mój uświadomiony towarzysz i ja przestaliśmy do Częstochowy na korytarzu. W Częstochowie Dobry Bóg zapalił słońce. Słońce kazało pluskwom iść spać, z czego i my skwapliwie skorzystaliśmy, zasypiając wreszcie snem podróżnym, będącym mieszaniną chytrości i triumfu.

Od tego czasu zastanawiam się dlaczego właściwie minister Komunikacji nie wypowie wojny pluskwom. Czy uważa, że nie należy ich tępić tylko dla tego, że w pluskwach płynie ludzka krew? Są dwa rozwiązania tej sprawy. Albo wytępić pluskwy, albo każdemu z podróżnych dodawać do biletu gratis dzięcioła.

(Le Rire)



— Widzę...



dwa pokoje z...



kuchnią i łazienką...

Stanisław Sojecki

Psychoza

Raz na wyspę Guadelupę
Sprowadzo zwykłą lupę.
Bowiem ludność Guadelupy
Nic nie chciała oprócz lupy.

Ale pewnej krajów grupie
Z ciekawości w mózgach chlupie:
Co też knuje Guadelupa?
Na co Guadelupie lupa?
Bowiem chyba tylko głupi
Bez powodu lupę kupi (!)

Zaczem wśród problemów kupy
Rośnie „kwestia Guadelupy".

Świat zamknięty w swej skorupie
Zadrżał dzięki Guadelupie.

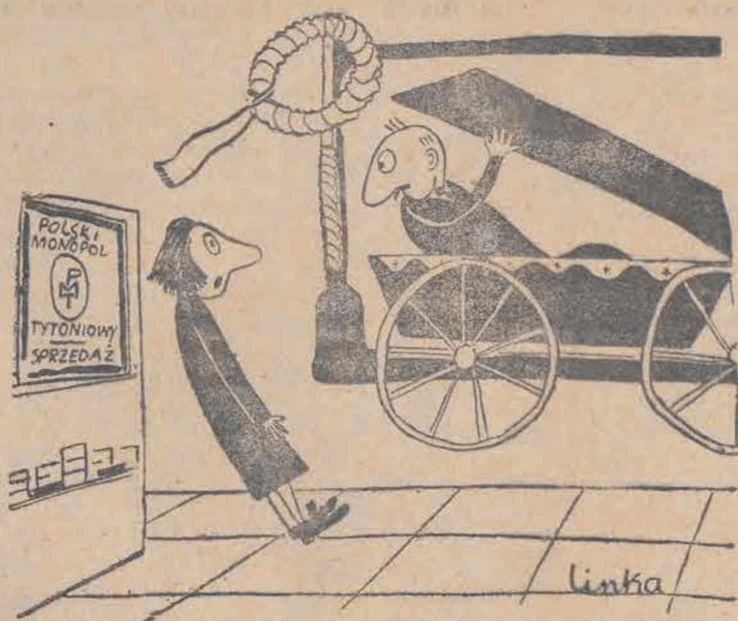
Listy, noty w sprawie lupy
Mkną do rządu Guadelupy,
Telefony drżą na słupach,
Już o stu się mówi lupach.
Cały glob nogami tupie
Przeciw wyspie Guadelupie!
Pachnie wojną, pachną trupy
Z racji lupy Guadelupy.

Więc parlament guadelupi
Widząc, co się nad nim krupi,
Wsadził posła do szalupy
Z odpowiedzią Guadelupy:
Że się cały świat wygłupia
Bowiem „kwestia guadelupia",
To nie żadna wojna, trupy,
Lecz zwyczajne kupno lupy.

Nawet dziecko pojmie głupie,
Że potrzebna Guadelupie,
Tak, jak do obiadu zupa,
Właśnie ta zwyczajna lupa.

Żeby zdobyć — obok zupy —
Nowy rym do G u a d e l u p y!

Na trudności z przydziałem papierosów



Rys. Jan Linka

Czy jest „Wolność"?

E. Zoszczenko

PSI WĘCH

Kupcowi Babkinowi ściągnęli drogie futro. Babkin aż zawył z rozpaczy.

— Futro — powiada — bardzo drogie, obywatele. Szkoda. Pieniędzy nie pożałuję, a zbrodniarza znajdę W mordę mu plunę.

I oto Babkin wezwał śledczego psa policyjnego. Zjawia się taki gość w kepi i owijaczach, a za nim pies. Takie nawet psisko — bure, morda śpiczasta i antypatyczna.

Jegomość ten pchnął pieska swojego na ślady obok drzwi, powiedział „ps" i odsunął się na bok. Pies obwąchał powietrze, okiem powiódł po zebranych (oczywiście, zebrał się tłum) i nagle podchodzi do babki Tekli, tej z pod piątego numeru i obwąchuje jej suknie.

Babka w tłum. Pies za kieckę. Babka w nogi — pies za nią. Złapał babkę za kieckę i ani rusz nie puszcza.

Babka bęc na kolana przed agentem.

— Tak — powiada — wsypałam się. Nie zaprzeczam. I, powiada, pięć wiader rozczynu na bimber — to prawda. I aparat — to rzeczywiście sprawiedliwie. Wszystko, powiada, znajduje się w łazience. Prowadź mnie do milicji.

W tłumie, rozumie się, zakotłowało.

— A futro? — pytają.

— O futrze — zaklina się — nic nie wiem, które jego jest, a co do reszty to święta prawda. Prowadźcie mnie na zatracenie.

No, i zabrali babkę.

Agent znowu wziął psisko swoje, znowuż pchnął je na ślady, powiedział „ps" i usunął się.

Powiodło psisko okiem, powąchało puste powietrze i nagle podchodzi do administratora domu.

Administrator zbielał, padł krzyżem.

— Wiążcie mnie — powiada — ludzie dobrzy, obywatele uświadomione. Ja, powiada, pieniądze za wodę zebrałem i na swoje zachcianki straciłem.

Jak się patrzy, lokatorzy przycisnęli go do muru, związali.

Tymczasem psiak podchodzi do obywatela z pod siódmego numeru. I szarpie go za portki.

Zbladł obywatel i gruch na ziemię przed narodem.

— Moja wina — powiada — moja wina. Ja — powiada — tak jest, w książce pracy lata podskrobałem. Powinienem jakom że zdrów jak ogier, w armii służyć i ojczyznę bronić, a ja mieszkam pod siódmym numerem i korzystam z elektrycznej energii innych komunalnych usług. Bierzcie mnie!

Naród osłupiał.

— Co to — myśli sobie — za cudowny pies taki?

A kupiec Babkin jakoś dziwnie łypnął oczami obejrzał się dookoła, wyjął pieniądze i wręcza agentowi.

— Zabieraj — powiada — psisko swoje do par stu tysięcy! Niechaj — powiada — przepada futro moje. Niech je donder świśnie...

A psisko już węszy. Stoi przed kupcem i ogonem wywija.

Zmieszał się Babkin odszedł na bok, a pies za nim. Podchodzi do niego i kalosze obwąchuje.

Zabełkotał coś kupiec, zbladł.

— No — powiada — Bóg prawdę widzi, jeśli już tak. To ja, powiada, ten sam suczy syn i kanciarz. I futro, powiada, bracia, nie moje jest. Futro bratu zgrandziłem!

Tu ci naród zaczął wiać, kto gdzie mógł. Psisko nie ma już kiedy powietrza obwąchiwać, złapał tylko dwóch czy trzech — kto mu się podwinął i trzyma.

I ci się przyznali. Jeden pieniądze skarbowe w karty przegrał, drugi małżonkę swoją żelazkiem hepnął, trzeci coś takiego opowiedział, że aż wstyd powtórzyć...

Rozbiegł się naród. Podwórko opustoszało. Pozostali jedynie agent i pies.

I oto nagle pies do agenta podchodzi i ogonem zaczyna kręcić.

Zbladł agent, upadł przed psem.

— Gryźcie mnie — powiada — obywatelu. Ja — powiada — na wasze psie strawne pieniądze dostaję, a sobie połowę zabieram...

Co tam było dalej — nie wiadomo. Ze strachu zwiałem jak najprędzej.

PROGRAM DLA MAS

Bardzo ucieszyliśmy się w ubiegłym miesiącu z przyjazdu do Łodzi znakomitej artystki, Marii Gorczyńskiej. Znakomita artystka wystąpiła gościennie w Teatrze Wojska Polskiego w komedii Herczega p. t. „Niebieski Lis". Lisy, wiadomo, są bardzo drogie i dlatego zapewne tak drogie były ceny biletów na w/w komedię. Nie poszliśmy więc na to przedstawienie, zadowalając się nabyciem programu. (cena dostępna — 10 zł), o następującej treści:

„**Toalety Marii Gorczyńskiej** z Salonu Mód Ewelina w Warszawie, Sewerynów (dawniej Chmielna 24),

Niebieski lis Marii Gorczyńskiej z firmy Zajkowski i Marmur w Warszawie, ul. Zgoda 9,

Kapelusze Marii Gorczyńskiej z firmy Jeanette, Łódź, Piotrkowska 133,

Obuwie Marii Gorczyńskiej z firmy Elegancja, Łódź, Piotrkowska 119,

Obuwie Haliny Jezierskiej, projektu Zofii Jastrzębskiej,

Ubrania Stanisława Daczyńskiego i Jana Świderskiego z firmy Mieczysław Olban, Łódź, Piotrkowska 57,

Obuwie Jana Świderskiego z firmy Czesław Jerzyna, Łódź, ul. Stefana Jaracza (Cegielniana) 15".

Stwierdzić należy, że w/w treść programu zawiera bezsprzecznie to wszystko, co najbardziej interesuje i co jest najbardziej potrzebne przeciętnemu konsumentowi teatralnemu.



przy pięknej alei... do wynajęcia... w 1960 roku...

Pewien chłop bawił u swoich krewnych w Oxfordzie i z podziwu godną stałością uczęszczał na uczone dysputy. Gdy go zapytano, dlaczego chodzi na rozprawy, z których przecie nic nie rozumie, odpowiedział:

— Nie jestem ja tak bardzo głupi. Widzę, który pierwszy zaczyna się złościć i zgaduję, że to tamten drugi ma rację!

*

Biedny krawiec zwolniony od cierpień tego świata i od złej kobiety zjawił się przed wrotami raju. Święty Piotr go zapytał, czy odbył już swój czyściec.

— Nie, odpowiedział krawiec, alo byłem żonaty.

— Och! odpowiedział apostoł to jest zupełnie to samo!

Zaledwie wszedł krawiec do raju, kiedy jakiś wielki pan prosi znowu świętego klucznika o przejście.

— Zwolna, zwolna jegomość — powiada święty Piotr, czy byłeś pan już w czyścu?

— Nie, odpowiedział tamten, ale cóż to znaczy? Tylko co przepuściłeś krawca, który równie jak ja ani zajrzał do czyśca.

— Tak, ale on był żonaty.

— Żonaty? Ależ ja byłem trzy razy żonaty!

— Hola, hola! — zawołał święty apostoł, a cóż pan myśli, że raj jest dla wariatów?

*

Pewien żartowniś był wezwany na świadka do trybunału londyńskiego w sprawie wielkiej bijatyki pomiędzy dwoma kupcami.

Oskarżyciel publiczny, który miał zwyczaj zadawać świadkom kłopotliwe pytania, zapytał go, na jakiej odległości znajdował się on od miejsca walki.

— W odległości czterech stóp, pięciu cali, sześciu linji — odpowiedział świadek.

— Jakim sposobem wiesz pan o tym tak ściśle?

— Byłem przekonany — odparł świadek — że jakiś idiota spyta mnie o to i zmierzyłem odległość na miejscu.

*

Bonnister był pewnego razu w towarzystwie, gdzie mówiono o snach. Ktoś powiedział, że mu się śniły wszy.

— Nic dziwnego — powiedział Bonnister — zawsze w nocy śni się to, co się za dnia ma w głowie.

*

Pewien najemnik w Devonshire dwukrotnie rzucał się do rzeki w celu samobójstwa. Ale jego kolega, żeniec dwukrotnie go wyciągał z wody. Wreszcie zrozpaczony robotnik powiesił się w drzwiach stodoły. Jego zbawca widział te przygotowania, ale nie przerwał swej roboty.

W parę godzin potem gospodarz fermy, znalazłszy w drzwiach stodoły powieszonego trupa, zapytał jego towarzysza, dlaczego dał mu tak marnie zginąć.

— Mój Boże — zawołał tamten — dwukrotnie wyciągnąłem go z wody. A ponieważ był mokry od stóp do głowy, myślałem, że się powiesił, aby wyschnąć.

*

Ktoś zapytał się pewnego pisarza, dlaczego często widzimy ludzi mądrych przed drzwiami bogaczy, a nigdy nie widzimy Bogaczy przed drzwiami ludzi rozumnych.

— Dlatego, odpowiedział literat, że mądrzy ludzie znają wartość bogactwa, a bogaci nie umieją cenić mądrości.



Rys. Zenon Wasilewski

— Cóż to? Podczas takiego deszczu łapiesz ryby? W dodatku masz twarz spuchniętą po jednej stronie.

— Deszcz mi nie przeszkadza, bo i tak przemokłem, a twarzy nie mam spuchniętej tylko trzymam tam glisty, żeby nie uciekły!



Rys. Zenon Wasilewski

— Dziękuję panu. Będę się modliła, żeby pan z panią poszedł do raju.

— Cicho! Macie jeszcze 50 złotych, módlcie się tylko za mnie.

Sir Andrews Mitchel, poseł angielski w Berlinie, podczas drugiej wojny śląskiej, zawiadomiając króla pruskiego o zwycięstwie armii brytyjskiej, powiedział:

— Z pomocą bożą odnieśliśmy zwycięstwo!

— Jakto? — zawołał Fryderyk, to Pan Bóg jest jednym z waszych sojuszników?

— Tak — odpowiedział ambasador — i to jedynym sojusznikiem, który nie wymaga posiłków.

*

Biskup Durham miał złe przyzwyczajenie trzymać rękę w czeluściach spodni. Pewnego razu wszedł do Izby Panów niosąc bill o pomocy dla rodzin po oficerach.

— Panowie! — zawołał — oto trzymam w ręku coś, co zmieni gruntownie sytuację wdów po wojskowych!

Ale tu przerwał mu książę Wharton pytaniem:

— Przepraszam, w którym ręku, milordzie?

*

Szkot i Irlandczyk, spotkawszy się na Jamajce, rozmawiali z sobą. Pierwszy z nich mówi:

— Niech mi pan powie, dlaczego z wszystkich rodaków pana, którzy przyjeżdżają do Indyj Zachodnich tylko bardzo niewielu robi majątek, podczas kiedy wszyscy Szkoci zbierają olbrzymie fortuny?

— To bardzo proste — odpowiedział Irlandczyk — bo tylko idioci zostają w pańskim kraju, a tylko idioci mogą porzucić taki kraj, jak moja ojczyzna.

*

Pewien młodzieniec wyrzucał tchórzostwo swemu przyjacielowi.

— Ale, mój drogi — odpowiedział tamten — ja mam serce odważne, tylko te szelmy nogi muszą zawsze stchórzyć w bitwie i uciekają razem z sercem.

*

Pani Chudley, potem hrabina Kinston, spotkała kiedyś w Bath lorda Chesterfielda i powiada doń:

Nie uwierzysz, drogi lordzie, jakie rzeczy opowiadają o mnie. Doszło do tego, że mówią, jakobym powiła bliźnięta!

— Niechże się pani nie przejmuje czczą gadaniną, powiedział lord, ja zawsze mam zwyczaj wierzenia wszystkiemu tylko do połowy.

*

Irlandczyk miał służyć za lokaja pewnemu panu.

— Z jakich stron pochodzisz? — zapytał chlebodawca.

— Jestem Anglikiem!

— A gdzie się urodziłeś?

— W Dublinie.

— Jakże więc możesz być Anglikiem skoro się urodziłeś w Dublinie?

— No, a jeżelibym się urodził w stajni, to czy byłbym zaraz koniem?

*

Słynna miss Lovely wywróciła się pewnego razu ze swoim kabrioletem, przy czym ukazała swoje „dessous". Pewien chłop podniósł ją z ziemi, pomógł jej otrzepać się z kurzu, po czym prosił ją o nagrodę.

— Czy jesteś żonaty? — zapytała miss Lovely.

— Nie, pani!

— Gdybyś był żonaty, dałabym ci gwineję — zawołała miss — ale skoro jesteś kawalerem, czy nie jesteś dostatecznie wynagrodzony?

Przedruk bez podania źródła wzbroniony. „Rózgi" ukazują się co tydzień. — Redakcja: Łódź Piotrkowska 98. D 09598
Redagują: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański. Henryk Tomaszewski.
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42.